

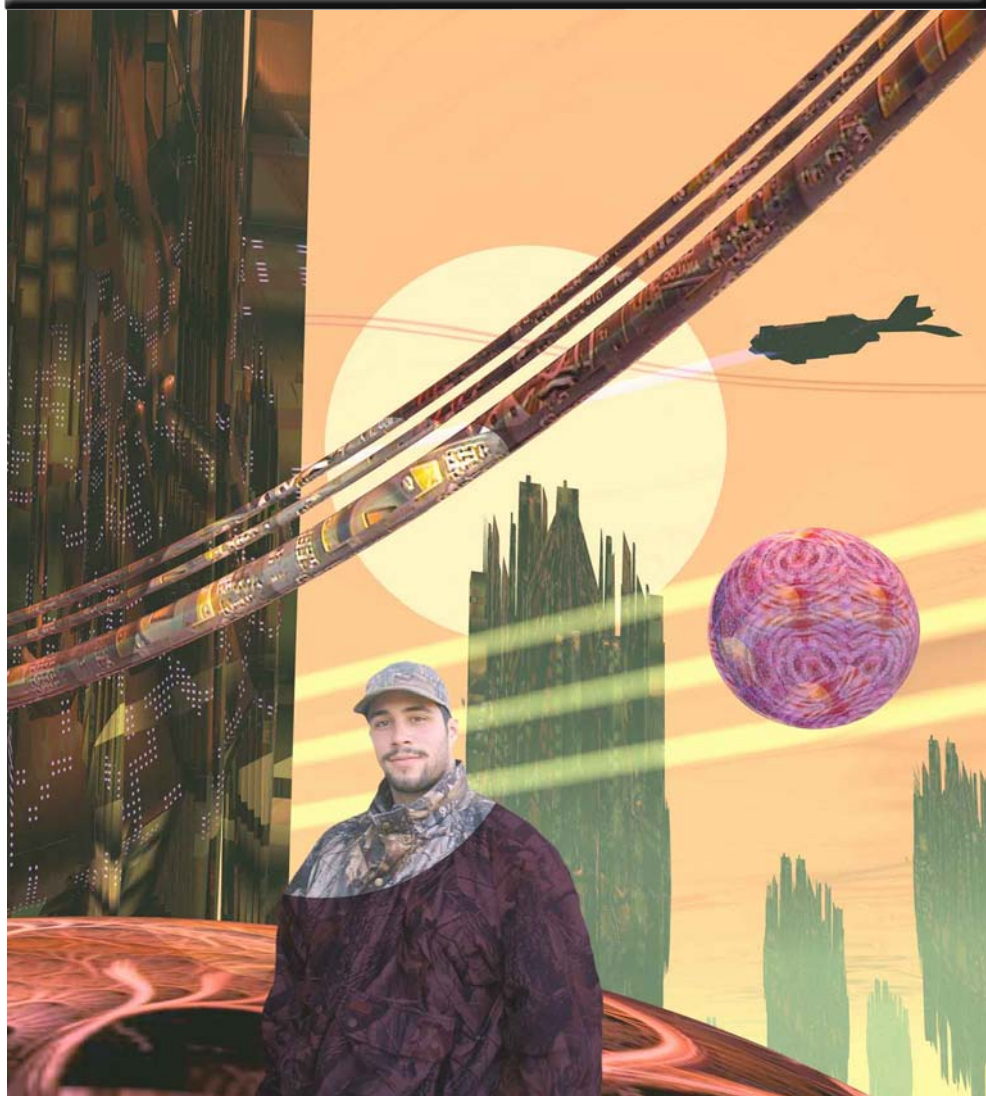
informato**r**

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 211
październik 2006



NA MARGINESIE TRUDNEJ SZTUKI INTERPRETACJI

Niedawno w jednym ze wstępniaków nawiązałem do kategorii odbiorcy (czyli: jak czytelnik lub widz odbiera dany utwór). Teraz będzie mowa o interpretacji dokonanej przez filmowców na powieści (nb. częściowo zainspirował mnie tekst z rubryki muzycznej).

Latem nadrobiłem filmową zaległość: obejrzałem w TV tę nową ekranizację „Wehikułu czasu”. I mam swoje uwagi. Zbyt mało ich na recenzję – ale do wstępniaka wystarczą... Jeżeli chodzi o oryginalną powieść – jest to niewątpliwie jedno z największych dzieł Wellsa i jedno największych arcydzieł literatury science fiction. Co o tym decyduje? Kilka elementów: literacka jakość tego utworu i jego przejmujący wręcz pesymizm; pomysł potraktowania czasu jako czwartego wymiaru, poprzez który można podróżować; ukazanie gatunku ludzkiego jako czegoś przejściowego, co kiedyś się wynaturzy i przeminie. Dziś nic w tym niezwykłego: mamy całe podgatunki SF przewrotnie bawiące się meandrami czasowymi, a obraz upadłej cywilizacji uczyniliśmy jedną z ikon pop-kultury. A przecież – wtedy musiało to autentycznie szokować... Co nie znaczy, by powieść nie miała pewnych wad – jak chociażby nazbyt „marksistowskie” (nie chodzi mi o ideologię, ale o łopatologię!) uzasadnienie podziału rasy ludzkiej na dwa odrębne gatunki. Klasyczna ekranizacja, ta sprzed lat, starała się zachować wierność oryginałowi. Dołączono kilka pomysłów – czy to bardziej „filmowych” (coraz krótsze suknie na manekinie vis à vis), czy to bardziej „uaktualniających” (trzy wojny światowe) – jednak fabularnie czuło się tu szacunek dla oryginału. Gorzej – treściowo. Eloje okazali się w finale nieco mniej zdegenerowani od powieściowych, a sam finał – powiał jakąś nutką optymizmu. No, i był to tylko porządny hollywoodzki film SF – na pewno żadne tam arcydzieło kinematografii (a przecież był on ekranizacją wybitnej powieści!). Znacznie mniej szacunku dla Wellsa okazał jednak twórca wersji współczesnej (notabene ponoć jakiś „późny wnuk” pisarza). Kilka jego pomysłów było nawet akceptowalnych: korespondencja Podróżnika w Czasie z młodym Einsteinem, wątek zapętlenia czasu i niemożności zmiany Nieodwracalnego, zastąpienie katastrofy zimnowojennej niefortunnym eksperymentem inżynierii kosmicznej. Ale u celu – było już tylko fatalnie: kanwa fantastycznonaukowej klasyki posłużyła za... opowiadkę w stylu i na poziomie „Gwiezdnego Wrót”. Wellsowski pesymizm też diabli wzięli, gdyż „naziemni” przedstawiciele gatunku ludzkiego okazali się nie ograniczonymi umysłowo „dużymi dziećmi”, ale normalnymi ludźmi; tyle że pozbawionymi cywilizacji technicznej i prześladowanymi przez Morloków (tylko oni zostali potraktowani jako mutanci). Komputerowe efekty specjalne oczywiście biły na głowę archaiczne nakładki starej wersji – ale w kinie amerykańskim to przecież dzisiaj norma. Czy więc nie mogę napisać o tym filmie ani jednego dobrego słowa? Mogę, nawet dwa: Jeremi Irons!

Skoro już o klasyce na ekranie mowa... Nie wiem, czy zwróciliście uwagę, iż w większości hollywoodzkich ekranizacji „Doktora Jekylla i pana Hyde’a” – ten drugi ukazany jest jako skrzyżowanie małpoluda z upiorem. A przecież Stevenson opisał go znacznie subtelniej, jako odpychającego człowieka emanującego nieokreślonym złem. Preparat doktora Jekylla nie przemieniał bowiem człowieka w potwora na tej zasadzie, iż opanowywały go jakieś „zewnętrzne”, obce mu, skłonności. On jedynie – blokował w człowieku dobro i uwarunkowania kulturowe; pozostawały, niekontrolowane, samo zło i sama dzikość – jak najbardziej „wewnętrzne”, będące naturalną częścią każdego z nas. To było szokującym „odkryciem” tej powieści (żona pisarza wrzuciła ponoć rękopis do kominka!) – i to umyka całkowicie w przerysowanych niepotrzebnie adaptacjach amerykańskich.

Inna forma interpretacji „pośredniej”, stojącej między oryginałem a odbiorcą – to tłumaczenie. Wszak na naszym rynku funkcjonuje kilka przekładów trylogii Tolkiena, zaś anglojęzyczne tłumaczenie „Solaris” całkowicie pozbawione jest barokowych neologizmów Lema. Ale o tym może więcej napisałby ktoś władający swobodnie mową Albionu?

URODZINY

Drodzy grudniowi Urodzeńcy,
nic to, że jest Was tak mało!

Za to każdy z pewnością potrafi:

- obsługiwać sprzęt audiowizualny jak Bartek;
- handlować bursztynem jak Lance;
- dogłębnie studiować jak Tomek;
- po mistrzowsku obsługiwać automatyczny zmywak jak Mariusz;
- rysować jak Piotrek;
- pisać jak Ewa;
- posługiwać się bejsbolem jak Adaś
i tańczyć jak Agata...

czego i sobie życzy

redakcja „Informatora GKF”

- 3 Bartosz Pietrza
- 4 Lance Oszko
- 5 Tomasz Świderek
- 8 Mariusz Czach
- 13 Piotr Terszel
- 14 Ewa Białołęcka
- 25 Adam Lewandowski
- 30 Agata Słomińska



PAŹDZIERNIKOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU i RADY STOWARZYSZENIA GKF

Odbyło się 29 października 2006 r. Ważniejsze z poruszanych spraw:

1. Sprawy organizacyjne

- 1.1. Przeprowadzono wstępną dyskusję o składkach na 2007 r.
- 1.2. Przedstawiono informację o windykacji niezwróconych do biblioteki książek.
- 1.3. Omówiono możliwość wykonania druków wpłat na konto klubu w ramach odliczania 1 % dla organizacji porządku publicznego.

2. Sprawy personalne

- 2.1. Przyjęcie członków do GKF
Urszula Płóciennik i Marcin Wiktor (Angmar), Lech Ugrićzic (Ordo), Ryszard Żal (KCzK)
- 2.2. Skreślenie z listy członków GKF
Angmar – Dominik Chojnacki, Piotr Wyszomirski, Piotr Adamski, Iwona Volkmann
First Generation – Andrzej Kuran, Maja Szmigiel
Brethren – Radosław Krantz
- 2.3. Przeniesienie
Artur Płóciennik z KF „Angmar” do KFP „Ordo”.

3. Sprawy finansowe

Omówiono stan subkont KLów i składkopłatność.

4. Praca Komisji Rewizyjnej

Komisja Rewizyjna ustaliła, że możliwe jest zakończenie w tym roku kontroli pozostałych sekcji biblioteki.

5. Imprezy

- 5.1. Omówiono stan przygotowań do Nordconu 2006.
- 5.2. Omówiono stan przygotowań do seminarium nt. „Wszystkie drogi fantastyki”, organizowanego z okazji obchodów dwudziestolecia GKF.
- 5.3. ORDO zapowiedziało organizację Voyagera 2007 (we współpracy z Trójmiejską Inicjatywą Mangową).



KOMIKSOWA ŁÓDŹ

Po raz pierwszy w siedemnastoletniej historii łódzkiego Międzynarodowego Festiwalu Komiksów impreza przekroczyła zarówno ramy czasowe (dotychczas był to pierwszy październikowy weekend), jak i progi gościnnego łódzkiego Domu Kultury. Miłośnicy obrazkowych historyjek już od środy mogli oglądać w kinie Cinema City komiksowy maraton filmowy. W jego ramach pokazano: *Fantastic Four*, *Batman – The Begining*, *Constantine* (w środę) oraz *Incredibles*, *Catwoman*, *X-men 3*, *Superman Returns*, *V for Vendetta*, *Elektra* (w czwartek). Niezależnie od oceny artystycznej zaprezentowanych filmów, warto zwrócić uwagę na fakt, iż nigdy dotąd w dziejach łódzkich spotkań komiksowych nie pokuszono się o podobne przedsięwzięcie. Szkoda jedynie, że zabrakło *Hellboya* – opowieść o obrońcy dobra z piekła rodem byłaby świetnym uzupełnieniem projekcji. Poza tym specyficzny, autoironiczny dystans tego filmu doskonale równoważyłby pompatyczność innych (tytułów nie wskażę, bo to rzecz gustu). Szkoda też, że nie pokazano się o przypomnienie starszych filmów, zrealizowanych na podstawie komiksów, choćby *Flasha Gordona* lub *Supermana*.



Wszystko jednak przed nami i, mejmy nadzieję, że w przyszłym roku organizatorzy nadrobią zaległości.

Oprócz uczty dla kinomanów (kinomaniaków?) zaplanowano weekendowe spotkania z osobami znanymi chyba każdemu miłośnikowi fantastyki: Pauliną Braitner, poświęcone tłumaczeniom prozy i komiksów Neila Gaimana oraz Maciejem Parowskim. Tego ostatniego prowadzący spotkanie, Krzysztof Skrzypczyk, zapowiedział jako Legendarnego Bojownika o Sprawę Komiksu w Polsce.

Mimo iż festiwal był poświęcony komiksowi, nie zabrakło turnieju gier bitewnych Warhammer Fantasy Battle (sobota) oraz projekcji filmów animowanych ze studia „Platine Image” (niedziela, wstęp – co godne pochwały – wolny). Na wielkim ekranie pokazano nie tylko filmy Tomasza Bagińskiego (*Katedrę* i *Sztukę spadania*), lecz również teaser *Wiedźmina*, *Molocha* i *Wielką ucieczkę*. Na deser zaś pozostawiono spotkanie z twórcami Funky Kovala.

Niejaką tradycją już się stało, że w ramach Festiwalu zorganizowano spotkanie naukowe. Wątkiem przewodnim tegorocznego spotkania komiksologicznego była kategoria bohatera w komiksie. Wśród referatów nie zabrakło rozważań na temat groteskowości i sakralizacji Szninkla (Maciej Barański: *Szninkiel – bohater rozpięty między sakralizacją a groteskowością*) oraz o Thorgalu (Wit Pietrzak, *Synkretyczna tożsamość Thorgala Aegirsoa, czyli bohater komiksu między mitologią i science fiction*). Gość Honorowy spotkania, Maciej Parowski, mówił o przemianach bohatera w ostatnim ćwierćwieczu (*Bohater elektryczny – magnetyczny bohater*).



Spotkanie należy uznać za udane – i to nie tylko z perspektywy miłośników opowieści rysunkowych. Wprawdzie trudno było zdążyć na wszystkie atrakcje, zwłaszcza że niektóre z nich odbywały się w tym samym czasie, jednak ów nadmiar jest godny pochwały. Mejmy zatem nadzieję, że i w przyszłym roku łódzki Międzynarodowy Festiwal Komiksu zorganizowany będzie z podobnym do tegorocznego rozmachem.

fotoreportaż z XXV-lecia Śkf



„Powrót Gigantów”



„Kosmiczny taniec”



„Nowe Legendy”



„Słuchacze”

„Głos dla księżniczki”



„Przestrzeń objawienia”



„Miasto w ogniu”



i ... „Chleba naszego powszedniego...”



Fot. Szymon Sokół

Yoga Victor!

Starzy klubowicze i wyjadacze nordconowi, nawet jeśli nie grali, to słyszeli o grze Republika Rzymu (Republic of Rome). Gra symuluje rozgrywkę w Senacie Rzymu w epoce Republiki – począwszy od I Wojny Punickiej, a kończąc na wojnie domowej – która wyniosła Juliusza Cezara na dożywotniego dyktatora (nawet jeśli długo nie porządził). Główną zaletą gry są negocjacje pomiędzy graczami, zdrada sojuszników i sztylet pojawiające się w rękę desperatów.

Nie jest jednak tajemnicą, że klubowicze się starzeją i mają coraz mniej czasu na spotkanie, szczególnie gdy rozgrywka może potrwać nawet parę godzin. Żyjemy jednak w epoce Internetu i skoro spora część działalności klubowej przeniosła się do wirtualnego świata, czemu i ten aspekt klubu nie odtworzyć tu...

Wiedza ze studiów w końcu znalazła praktyczne zastosowanie – i odtworzyłem grę na swojej stronie. W pilotażowej grze wzięło udział sześciu klubowiczów. Gra trwała około miesiąca, ale wolne tempo nie przeszkadzało, a wręcz przeciwnie – dodawało smaczku i powalała na dłuższe wykuwanie planów.

Grę wygrał Yoga w koalicji z Evinem. U pozostałych graczy wywołało trochę niesmaku, bo zwycięzcy dogadali się na początku i mieli znaczną przewagę nad resztą. Polityka to jednak brudne zajęcie!

Obecnie ruszyła nowa edycja. W momencie pisania tego artykułu zgłosiło się dziewięcioro graczy, więc wystartowała jedna gra z piątką, a pozostała czwórka czeka na jeszcze jednego uczestnika.

Na zakończenie chciałbym przytoczyć kilka wypowiedzi z forum „Plotki” dostępnego dla każdego z uczestników:

Większość fałszywych plotek jest rozgłaszana przez ludzi Fortepianusa! Nadal dąży do wprowadzenia reformy agrarnej.

Tzw. "zamieszki głodowe" były wystąpieniem kilkudziesięciu obywateli przeciwko dyktowaniu zawyżonych cen przez importerów zboża! Protestujący zostali rozpędzeni przez ludzi opłaconych przez Katona lub Cunctatora. Cenzor zajął się już tą sprawą.

Zamieszki głodowe w dzielnicach biedoty zostały sprawnie stłumione siłami 1-szego i 9-tego legionu.

Dzięki szybkiej i zdecydowanej akcji Manliusza prowodyrzy zamieszek w koszarach zostali straceni. Jest to kolejne rozsądne posunięcie cenzora, mające na celu utrzymanie porządku w Republice.

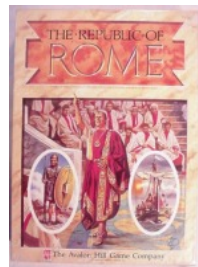
Ulice głośnie są od szumu, pośród którego zasłyszano wieści, jakoby Acylius planował targnąć się na życie Africanusa.

Senatorzy z frakcji Yogusa i Evinusa dbają o dobro Republiki tylko po to by było więcej do ukradzenia!

Rozłam między frakcjami wojskowymi! Scipio i Cunctator pokłócili się o to czyje zwycięstwo było istotniejsze! Dzięki tym niesnaskom Yogus i Evinus mogą spać spokojnie, gdyż już nikt nie zagrazi ich koalicji.

Frakcje wojskowe (Scipia i Cunctatora) zawarły pakt z Fortepianusem i Marchwinusem w celu odsunięcia od rządów koalicji Yogus + Evinus

Jak długo jeszcze Evinus będzie unikał bezpośredniej odpowiedzialności za Republikę kryjąc się za plecami swej marionetki, Yogusa? Stać go na kupowanie głosów, ale czy stać go na uczciwość?



ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

druga połowa listopada 2006

(pominięto powtórzenia z poprzednich „Zapowiedzi”, prócz autorów, których lubimy)

WILCZA KREW, SMOCZY OGIEŃ – ROMUALD PAWLAK

Wydawca: Fabryka Słów

WYDRWIZAB – EUGENIUSZ DĘBSKI

Wydawca: Fabryka Słów

PRINCESS OF WANDS – JOHN RINGO

Wydawca: ISA

DOM WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA – ALEKSANDRA JANUSZ

Wydawca: RUNA

W MARTWYM TERENIE – WEBER DAVID & WHITE STEVE

Wydawca: Rebis, "Starfire", tom 3

ŁOWCY DUSZ – JACEK PIEKARA

SŁUGA BOŻY – JACEK PIEKARA

WĄŻ I GOŁĘBICA – JACEK PIEKARA

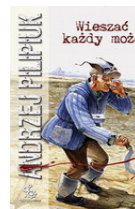
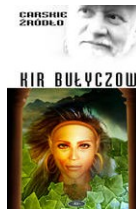
Wydawca: Fabryka Słów

CARSKIE ŹRÓDŁO – KIR BUŁYCZOW

Wydawca: Solaris

WIESZAĆ KAŻDY MOŻE – ANDRZEJ PILIPIUK

wydawca: Fabryka Słów



grudzień 2006

SAKRAMENT – CLIVE BARKER

Wydawca: Mag

CZARNA IKONA – MIESZKO ZAGAŃCZYK

Wydawca: Fabryka Słów

KROKI W NIEZNANE. ALMANACH FANTASTYKI 2006

Wydawca: Solaris

BILION DOLARÓW (EINE BILLION DOLLAR) – ANDREAS ESCHBACH

Wydawca: Solaris

DIUNA – FRANK HERBERT

Wydawca: Rebis

Tłumaczenie: Marek Marszał

NAGI BÓG: WYPRAWA (THE NAKED GOD) – PETER F. HAMILTON

Wydawca: Zysk i S-ka

OBCY W OBCYM KRAJU (STRANGER IN A STRANGE LAND) – ROBERT A. HEINLEIN

Wydawca: Solaris

NA OSTRZU NOŻA. TOM 1 (OSTŘÍ OCELI) – MIROSLAV ŽAMBOCH

Wydawca: Fabryka Słów

KLUB TFURCÓW

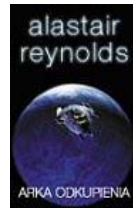
Wydawca: Fabryka Słów

PRZYWOŁANIE SMOKÓW – PATRICIA C. WREDE

Wydawca: ISA

ARKA ODKUPIENIA, TOM I – ALASTAIR REYNOLDS

Wydawca: MAG



Opracowanie na podstawie serwisów www.esensja.pl i www.katedra.nast.pl

Janusz Piszczek

NIUSY

WITOLD OSTROWSKI (1914 – 2006)

W październiku zmarł w Łodzi prof. dr hab. Witold Ostrowski, wybitny anglista, specjalista z zakresu teorii i historii fantastyki (głównie anglojęzycznej). Był autorem wielu prac naukowych z zakresu fantastyki, utopii, powieści gotyckiej. Jako jeden z niewielu autorów publikujących w wielojęzycznym półroczniku „Zagadnienia Rodzajów Literackich”, sukcesywnie zamieszczał na jego łamach hasła encyklopedyczne związane z fantastyką. Był autorem klasycznego już wstępu do *Utopii* Morusa. W 1958 roku opublikował tom szkiców *O literaturze angielskiej* w którym zamieścił m.in. pracę dotyczącą angielskiej utopii literackiej, zaś w pracy *Romans i dramat* analizę *Wyspy mędrców* Francisa Bacona (1970). Znający Profesora zapamiętają jego osobisty urok, serdeczność i pasję naukową.

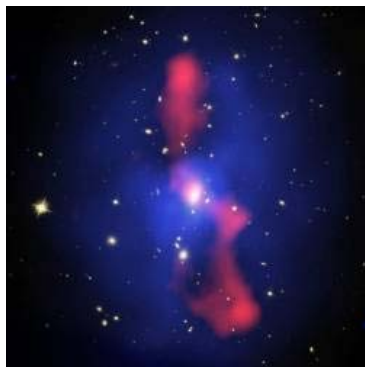
AdaM

CZARNA DZIURA MILIARD RAZY TAKA JAK SŁOŃCE

Obserwatorium rentgenowskie Chandra zbadało gromadę galaktyk odległą o 2,6 miliarda lat świetlnych. W centrum najjaśniejszej galaktyki w gromadzie znajduje się czarna dziura o masie wynoszącej prawie miliard mas Słońca.

Na prezentowanej ilustracji mamy złożenie trzech fotografii. Na obraz z Chandry nałożone jest zdjęcie wykonane przez teleskop Hubble'a w lutym 2006 r. Widać na nim dziesiątki galaktyk należących do gromady.

Przestrzeń pomiędzy galaktykami wypełnia gorący gaz o temperaturze rzędu 50 milionów stopni. Widać go w promieniowaniu rentgenowskim, a na zdjęciu przedstawiony jest w kolorze niebieskim. Zdjęcie gromady o nazwie MS 0735.6+7421 wykonano 30 listopada 2003 r., a czas ekspozycji wynosił 13 godzin.



wg: www.onet.pl

NIKE 2006

W tym roku tę najbardziej prestiżową polską nagrodę literacką otrzymała Dorota Masłowska za "Pawia królowej".

Nominowani byli również: Mieczysław Abramowicz ("Każdy przyniósł, co miał najlepszego"), Ewa Graczyk ("Przed wybuchem wstrząsnąć"), Jerzy Jarzębski ("Prowincja Centrum"), Aleksander Jurewicz ("Popiół i wiatr"), Piotr Kalwas ("Czas"), Urszula Koziół ("Supliki"), Iwona Kurz ("Twarze w tłumie"), Ewa Lipska ("Gdzie indziej"), Piotr Matywiecki ("Ta chmura powraca"), Zbigniew Mentzel ("Wszystkie języki świata"), Jacek Podsiadło ("Kra"), Eustachy Ryłski ("Warunek"), Barbara Skarga ("Kwintet metafizyczny"), Piotr Sommer ("Po stykach"), Andrzej Stasiuk ("Noc"), Wisława Szymborska ("Dwukropek"), Mariusz Wilk ("Wołoka"), Michał Witkowski ("Lubiewo"), Adam Zagajewski ("Ateny").

Stało to już tradycją, że nagroda została wręczona w pierwszą niedzielę października.

jpp

HALLOWEEN FILMOWY

W wigilię Wszystkich Świętych na telewizyjnym kanale Ale Kino!, a wcześniej w trójmiejskich multiplexach odbyły się wieczorno-noce maratony horrorów.

jpp

KOLEJNA FANTASTYCZNA TRYLOGIA

Trwają prace nad filmem "Piraci z Karaibów: Na krańcu świata". Materiał zresztą był kręcony jednocześnie z drugą częścią, podobnie jak miało to miejsce podczas realizacji dalszych części "Powrotu do przyszłości" i "Matriksa".

jpp

SHREK III I PÓŁ NA BOŻE NARODZENIE

Szykuje się nie lada prezent dla wszystkich fanów zielonego ogra Shreka. Powstać ma specjalny, telewizyjny odcinek jego przygód.



Epizod przygotowywany jest przez stację telewizyjną BAC w porozumieniu z wytwórnią DreamWorks. Specjalny odcinek będzie trwał 30 minut i zostanie wyemitowany w grudniu 2007 r. Zimowy, telewizyjny Shrek zatytułowany został „Shrek the Halls”. Będzie on opowiadał o spędzonym na bagnach przez Shreka i Fionę wraz z przyjaciółmi święcie Bożego Narodzenia.

Bajkowe postaci przemówią tymi samymi głosami co w produkcji pełnometrażowej. Shrekiem będzie Mike Myers, Fioną Cameron Diaz, Osłem Eddzie Murphy a Kotem w Butach (który najprawdopodobniej doczeka się własnego filmu) Antonio Banderas. Występ gwiazd w „Shrek the Halls” został już zakontraktowany.

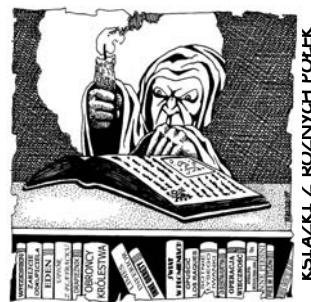
„Shrek the Halls” będzie kontynuacją „Shreka trzeciego” który do polski zawita już 6 lipca 2007. Producenci hitu poprzez niespodziankę, jaką telewizyjny Shrek niewątpliwie będzie, mają zamiar podnieść sprzedaż płyt DVD z filmem o przygodach sympatycznego ogra.

Poza telewizyjną zapowiedziana jest również kolejna, kinowa wersja przygód Shreka. Niestety żadne szczegóły fabuły „Shreka IV” nie są jeszcze znane.

wg: www.wp.pl

O cyberpunku – filozoficznie

Stanisław Lem, *Golem XIV*
Kraków 1981,
„Wydawnictwo Literackie”.



Golem XIV, powieść-traktat Stanisława Lema, mimo iż nie kojarzona zazwyczaj z cyberpunkiem, stanowi ważny głos w refleksji na temat postrzegania przez jednostkę techniki w sposób dlań znamieny. Jest to utwór łączący w sobie żywioł literackiej fikcji (rama modalna wykładów tytułowego komputera) z refleksją filozoficzno-cywilizacyjną. Podobnie jak w *Summie technologiae* i *Dialogach*, Lem powraca tu do rozważań nad wpływem techniki na postrzeganie siebie i świata przez człowieka.

Ową sferę zainteresowań zdaje się wyznaczać już tytuł utworu. Golem wszak to pierwszy mechaniczny sługa człowieka, według legendy stworzony z gliny w XVI wieku przez praskiego alchemika Lewę ben Becalela. Jednocześnie w utworze Lema jest tym, który wskazuje ludzkości drogę wyjścia z cywilizacyjnego impasu. Postrzega człowieka

jako istotę mniej doskonałą od siebie, *inwalidę przez pokraczność umysłu* (s. 67). Zarazem jednak dostrzega jego wielkość, formułując własne prawo ewolucji: *Budowane jest mniej doskonałe od budującego* (s. 41). Supremacja ludzkości nad techniką jest wątkiem obcym cyberpunkowi, najczęściej zbliżającemu się do światopoglądu katastroficznego. Jednakże Lem nie tworzy utopii technologicznej. Zamiast oferować łatwe rozwiązania proponuje raczej rezygnację z sensacyjnej akcji na rzecz dyskusji nad odpowiedzialnością człowieka za swe wynalazki.

Treść utworu stanowi zapis fikcyjnych wykładów tytułowego mózgu elektronicznego. Zebrane w tomie, opatrzonym przedmową autorstwa Irvinga T. Creve`a posłowiem Richarda Proppa, ukazać miały się nakładem wydawnictwa Indiana University Press w 2004 roku. Już samo umieszczenie na karcie tytułowej fikcyjnych danych bibliograficznych sugeruje, iż jest to dzieło powstałe w przyszłości. Wrażenie to potęguje zamieszczone jako przedmowa szkic, dotyczącego ewolucji sztucznej inteligencji: od ENIACA (zbudowanego u schyłku II wojny światowej), po serię GOLEM-ów, konstruowanych na początku XXI wieku. Nie jest to jednak konwencjonalna fantastyka naukowa. Tym bowiem, co stanowi zasadniczą część powieści, są stylizowane na refleksje filozoficzne wykłady tytułowego komputera. Ich język – wysoce abstrakcyjny – zbliża stylistykę utworu do stylu prac naukowych.

Tym, co interesowało GOLEMA, był człowiek i jego status ontologiczny. Wyrazowym fascynacjom dał w pierwszym wykładzie, próbując zarysować pozycję człowieka w świetle zachodzących przemian społecznych i technologicznych. Ukazując drogę, jaką człowiek przebył w trakcie ewolucji, GOLEM nakreślił jego obecną sytuację jako tragiczną, ale też i nie pozbawioną w pewien sposób nadziei: *stoicie wśród drogi(...) a ci z was, którzy do desperacji żałują słodkiej bezwiedności kulturowego domu niewieli, wołają o powrót tam, do źródeł, lecz nie możecie się cofnąć, odwrót odcięty, mosty spalone, musicie tedy iść naprzód* (s. 30) toteż ludzkość jest, według niego, skazana na bezustanny rozwój.

Są to sformułowania o tyle istotne, że Lem wyklada je poprzez słowa maszyny – tworu sztucznego, a więc obcego w konfrontacji z człowiekiem jako gatunkiem. Jednakże dopiero takie zderzenie dwu całkowicie obcych sobie form bytu pozwala maszynie na stwierdzenie, iż jej konstruktor to *nie ten jakowys ssak, kręgowiec żyworodny, dwupłciowy, stałocieplny (...), który daje się zaklasyfikować podług Linneuszowej tablicy i katalogu dokonanych cywilizacyjnych. On – to raczej jego rojenia, ich fatalna rozpiętość, przeciagły, nieustający zgrzyt pomiędzy zamierzonym a dokonywanym (...) głód nieskończoności* (s. 81). Nieprzypadkowo też, po przekazaniu swych przemyśleń, GOLEM ulega destrukcji. Wypełnił wszak postawione przed sobą zadanie: ukazał ludzkości dalszej możliwej drogi rozwoju. Toteż może uwolnić się od obowiązku służenia swą wiedzą człowiekowi i – przekraczając kolejny szczebel sztucznej ewolucji – zaistnieć w niematerialnej postaci, jakkolwiek naukowcy uznali to za kres jego sztucznego „życia”.

Czy warto dziś, gdy wiadomo już, że droga do powstania sztucznej inteligencji jest jeszcze długa, wracać do powieści Lema? Utwór ten, trudny w odbiorze i wymagający znajomości podstaw cybernetyki i filozofii techniki, nie zyskał szerszego oddźwięku w kręgu miłośników rodzimej prozy fantastycznonaukowej. Z pewnością winien (o ile można tu mówić o jakiegokolwiek winie) jest hermetyczny język powieści. Również problematyka dalece odbiega od tego, do czego przyzwyczajeni byli i są nadal zwolennicy opowieści o cyberprzestrzeni. Jeśli jednak nie traktujemy dziś historii ze świata wirtualnego jako odpowiednika „kosmicznych (w tym przypadku fantomatycznych) awantur” – jest to zasługą również Lema.

Historia Pikników Na Skraju Drogi (3)

XI Piknik Na Skraju Drogi Cerkiewnik 19 lipca – 31 sierpnia 1997

Jak zwykle w lipcu, jak zwykle w Cerkiewniku. Nadal nie mamy zamiaru zmieniać miejsca zakwaterowania. Coraz większa kultura i większe wymagania, jeśli chodzi o własną wygodę. Pojawił się nowy pomost na Małej Pupli, materace do spania, krzeselka, pontony. Jednak całość imprezy była podporządkowana tylko jednemu wydarzeniu. Papier budował sławojkę z prawdziwym zdarzenia, z drzwiami i serduszkami (z prawdziwym witrażem), przenośną (by można ją było przechować, u leśniczego by jej nikt nie zniszczył). Trwało to długo, ale zdążył przed końcem imprezy. Gienio Dębski przywiózł ze sobą przyjaciela, przez co pogłowie dzieci bardzo wyraźnie podskoczyło do góry. Zrobiliśmy im konkurs, jak co roku. W zamian za to młodzież urządziła nam skoki po polu minowym. Konkurs dla „starych repów”. Udział z konieczności mieli zagwarantowany najstarsi stażem i wiekiem. Zbieranie kwiatków, „obrzydlive kanapki”, i picie piwa ze sznurka to tylko niektóre z konkurencji, (szkoda, że na piwie odpadli wszyscy najlepsi, bo mieli „wymienne szuflady”). Tym powodzeniem młodziaki tak się rozbawili, że wyzwali starych na turniej piosenkarSKI. Z ramienia starych wystartowali w turnieju Gwoździki wspierane Gieniem Dębskim i rozłożyli młodzież „Jagódkami”, które do dziś są hymnem Pikniku. Nabyliśmy nowych doświadczeń, co można spalić w ognisku – prawie wszystko. Po raz pierwszy udowodniono też, że robienie zdjęć przy ognisku wspomaganym świetlnymi racami lotniczymi jest bardzo łatwe a zdjęcia są super. Aha, skoki przez ognisko nie każdemu wychodzą na zdrowie.



XII Piknik Na Skraju Drogi Cerkiewnik 18 lipca – 2 sierpnia 1998

Na wstępie czekała nas zmiana. Nastął nowy leśniczy - Jacek, dużo młodszy od poprzedniego. Ma fajną żonę, za którą niejeden wodzi oczyma, ale ma też niezły sztucer z lunetą i tradycyjną dubeltówkę. Gienek chciał mu dorównać, ale udało się skołować tylko wiatrówkę. Te niepowodzenia odbił sobie w konkursach, był najlepszy w wyścigu z kometką. Żeby nie było mu za łatwo – zaiwaniął w płetwach. Papier przywiózł ze sobą już dwa psy. Jego Tina się oszczeniła i przyjechała z córką (dziecko z maści jest podobne do starego Bica). Po raz pierwszy pojawił się też „Tajfun” – ochrzczony tak z racji swojego nieokiełznanego charakteru i wariackich pomysłów. Poziom imprezy był wysoki, bo poziom wody w jeziorze wzrósł o ok. 1,5 metra. Dobudowaną płaszczadkę do pomostu na Dużej Pupli zalała woda. Ponieważ z roku na rok przybywa zmotoryzowanych uczestników to nowy leśniczy wydzielił nam kawał polany za domem na parking. Żeby mu nie zastawiać podwórka. Papier ułożył nowy pomost przy zmywalni, aby nam było wygodniej. Po raz pierwszy nawiązaliśmy przyjacielski kontakt ze strażą leśną i tutejszą policją. Fajne, młode chłopaki. Potrafią snuć barwne opowieści przy ognisku i nie tylko.... Czasami odwiedzał nas poprzedni leśniczy, aby pogadać o starych czasach.



XIII Piknik Na Skraju Drogi Cerkiewnik 17 lipca – 31 lipca 1999

Na szczęście nie okazał się pechowy. Było wszystko tak, jak co roku. Znowu przybyło samochodów na naszym parkingu. Nie znaczy, że było nas więcej. Wygląda na to, że „stopa życiowa nam się podnosi”. Po raz pierwszy (i jedyny) odbył się też turniej paintballa. Każdy, kto chciał mógł sobie polatać z giwerą na farbę. Efekty widać było na uczestnikach pomimo strojów ochronnych. Celność strzałów potwierdzali śladami na całym ciele. Uwaga! farba z kulek do paintballa niekoniecznie nadaje się do mycia zębów. Okazało się, że najtrudniej jest trafić do nieruchomego celu (tarcza), z uwagi na dość duży rozrzut. Strażnicy leśni powiedzieli, że taki sprzęt przydałby się im do znaczenia kłusowników i zwierzyny łownej (a czy widział ktoś dzika w kolorach biedronki?). Conan sprawdzał na swojej nodze siłę tego pistoletu. Siniak pierwsza klasa. Poza tym, ponieważ Harcerz się ożenił (i dobrze mu tak!), była słodka wódka dla fandomu. Po raz pierwszy próbowaliśmy Koktajlu z Arbuza. Chyba wejście do tradycji. Odbył się turniej koszykówki oraz pokaz mody damskiej. W rolach głównych wystąpiły: Ania Zygmunt z Warszawy i Ala z Wrocławia. Reszta wstydliwie trochę się przyczaiła.

XIV Piknik Na Skraju Drogi Cerkiewnik 15 lipca – 23 lipca 2000

Piknik Tysiąclecia. Szampański nastrój. Co prawda większość ludzi ta sama, to samo miejsce, ale tak jakoś donioślej. Niestety ze względu na Eurocon w Gdyni liczba uczestników była zdecydowanie mniejsza. Podobno przed nami był tu rajd Kormorana.



Parę śladów na drzewach było, ale doliczyliśmy się wszystkich. Były twardsze. Poza tym gwałtownie w tym roku wzrosło pogłowie *ŻyraFana*. Chcieli koniecznie wyzwać pozostałych na mecz – „oni vs reszta”, ale „reszta” się nie dała sprowokować. Wchodzenie do hamaka w śpiworze jest trudną sztuką. Przekonali się o tym na własnej skórze uczestnicy konkursu drużynowego. Z mniej miłych wiadomości to takie, że zabrali

nam pociągi kolejowe do cywilizacji i musimy bardziej liczyć na własne pojazdy. A do autobusu 8 km. I do tego po drodze dwa sklepy z jedzeniem i piciem. Każdym. W takich warunkach nikt nie dojdzie do przystanku. Niektórzy wynajęli sobie pokoje w leśniczówce dla wygody własnych pociech.

XV Piknik Na Skraju Drogi Cerkiewnik 14 lipca – 29 lipca 2001

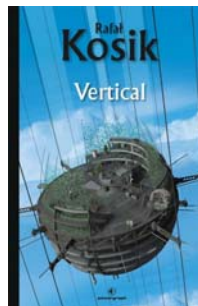
Kaczor po raz pierwszy przywiózł Anię, czyli „Żyrąfę”. Może stanie się żywą maskotką jednego z klubów. Na razie trzeba przyznać, że się stara. Leśniczy Jacek podrzucił nam pomysł, aby zwiedzić Arboretum w Kudypach. Jest to ogród botaniczny, na którym są



hodowane wszelkie możliwe odmiany drzew, krzewów i roślin, które uda się utrzymać w naszych warunkach klimatycznych. Ponadto całość utrzymana jest w formie naturalnego parku w zasadzie bez ingerencji człowieka. Nawet rosnące tu i ówdzie dorodne grzyby - ku naszej rozpacz - były nietykalne. Ponieważ arboretum ma dopiero kilka lat, być może nasze wnuki zobaczą to miejsce w całej okazałości. Bardzo ciekawa i pouczająca wycieczka. Koszt

Najprzyswajalniejszy ideowiec

Z trudem muszę to przyznać, ale większość polskich autorów (zresztą nie tylko) powtarza do znudzenia utarte schematy literackie. Kroczy tak bardzo wydeptanymi ścieżkami, że tylko młodszy czytelnicy nie mają tego jeszcze dosyć. Pozytywnie na tym mrocznym tle wyróżniają się właściwie tylko trzy osoby. Prywatnie nazywam ich ideowcami, czyli pisarzami tworzącymi idee. Takimi, dla których najważniejszy w książce jest pomysł. Mowa o Dukaju, Huberacie i właśnie Rafale Kosiku, autorze *Verticala*.



Pierwszy ma niemiły zwyczaj gubienia się w stworzonych przez siebie światach, strzela nimi niczym strzelbą na słońce do mrówek. Drugi, trudny w odbiorze, przez co niedoceniany. Trzeci to przykład na to, jak można wyjść z takiej sytuacji obronną ręką. Jego kolejna powieść, na którą przyszło czekać bez mała tyle, co na najnowszą płytę zespołu Tool, to kolejny raz solidna dawka energetycznej literatury. Energetycznej, bo każe z ciarkami na plecach oczekiwać następnych dokonań Rafała. Ktoś powie, znowu Kosik, znowu hit, stajesz się, recenzencie, nudny. Trudno, powtórzę się. Książka wstrząsa.

Vertical to powieść-cebulka. Kolejne warstwy, pozornie ze sobą niezwiązane, odkrywane są przed czytelnikiem powoli i z pieczołowitością. W każdym z przedstawionych światów można znaleźć pewną świeżość. Im dalej tym lepiej, gdyż zaczyna się to, co tygrysy lubią najbardziej, czyli ząbienie. Wpierw poznajemy jednak bohatera - Murka - który żyje sobie w powietrznym mieście, pnącym się nieustannie w górę po niekończących się linach. Całe społeczeństwo metropolii nie wydaje się mieć problemu z takim stanem rzeczy, ale on w pewnym momencie zadaje PYTANIE: skąd jesteśmy i dokąd zmierzamy? Wiadomo, że tego typu pytania nie mogą pozostać bez odpowiedzi, przez co poszukiwanie rozwiązania zagadki w pewnym momencie przyjmuje formę drastyczną.

Podwodne miasta, błękit nieba przecinany wstęgami lin, głębia kopalń, zakrzywiona czasoprzestrzeń, tajemniczy konstruktorzy statków, gigantyczne mechanizmy.

Miłość, przyjaźń, poszukiwanie sensu życia, tajemnica śmierci.

Wszystko to odnajdziecie w tej powieści. I wciągnie Was ona, tak jak i ze mną to zrobiła. Czytałem ją już dwa razy, co nieczęsto mi się zdarza. I pewnie jeszcze do niej wrócę. By znaleźć – prawie – wszystkie smaczki, wynaleźć alternatywne zakończenie, inaczej ją zinterpretować. To ostatnie jest najważniejsze, bo Rafał nie podał na tacy ostatecznej odpowiedzi. Od Ciebie czytelniku zależy, czy będzie ona optymistyczna, czy wręcz przeciwnie.

Takie pozycje na naszym rynku cieszą niepomierne. Bo każą myśleć, drażą temat życia, a jednocześnie nie przynudzają, nie zalewają falą niezrozumiałych słów, a w końcu nie są wtórne. Jedynym minusem jest to, że Rafał wróci teraz do przygód zwariowanej paczki przyjaciół. Nie żeby mnie to martwiło, ale kolejna "dorosła" powieść ujrzy światło dzienne pewnie nieprędko. Ech. Tak to jest, z tymi najlepszymi z najlepszych. Brawo Rafał!

Greg K1ler (www.gildia.pl)

Rafał Kosik „Vertical”. Wydawnictwo Powergraph 2006, 320 s.

Człowiek w labiryncie (nagród)

ROBERT SILVERBERG
Pożegłować do Bizancjum



MIKROFANTASTYKA I OPWIADANIA Z TERAZ I Z TAM
CIEKAWOŚCI I NIEBIE I S. HUGO

Gdyby poniższy tekst był artykułem w gazecie, widniałby nad nim wydrukowany wielkimi, czerwonymi literami nagłówek: "Rewelacja! Najlepsze opowiadania Roberta Silverberga wydane w Polsce!". Jednakże, ponieważ jest to tylko recenzja, zacząę ją dużo skromniej, od przypomnienia, że zbiór opowiadań *Pożegłować do Bizancjum* nie jest pierwszym spotkaniem polskich czytelników z tym popularnym amerykańskim pisarzem. Tytuły takie jak *Zamknięty świat*, *Zamek lorda Valentine'a*, czy *W dół ku ziemi* znane są z pewnością przynajmniej ze słyszenia znakomitej większości fanów fantastyki.

W książce *Pożegłować do Bizancjum* zebrano siedem opowiadań Roberta Silverberga. Każde z nich zostało nagrodzone prestiżową nagrodą Hugo lub Nebula. Wszystkie bez wyjątku zasłużyły na takie wyróżnienie. Są dobrze napisane, wciągają już od pierwszych zdań i potrafią utrzymać zainteresowanie czytelnika aż do samego końca. To inteligentnie zbudowane opowieści, których ogromnym atutem jest ich oryginalność.

Każdy z prezentowanych w książce tekstów jest inny. Znajdziemy tu opowiadania, zbliżone do fantastyki (*Skrzydła nocy*) albo science-fiction (*Pożegłować do Bizancjum*). Większość jednak to teksty wykraczające daleko poza ustalone ramy. Autor buduje własny świat dla historii, które chce opowiedzieć, a słuszność zerwania z konwencją potwierdza świetną fabułą swoich historii.

Opowiadania mają bardzo różnorodną tematykę. Silverberg zabiera nas do koszmarnego świata, w którym ludzie nawiedzani są przez niewidzialne istoty przejmujące kontrolę nad ich ciałami i umysłami (*Pasażerowie*, jedno z najlepszych opowiadań w książce), ukazują nam hermetyczną społeczność, jaką tworzą ożywieni zmarli (*Rodzimy się zmarłymi*), zaprasza do odwiedzenia zrekonstruowanych przez ludzi z przyszłości najwspanialszych miast starożytnego świata (*Pożegłować do Bizancjum*). Każda z historii niesie jakieś przesłanie. Silverberg zastanawia się nad istotą wiary opisując wątpliwości wiernych podczas wyboru pierwszego papieża-roboty (*Dobre wieści z Watykanu*); ustami swoich postaci prowadzi filozoficzne dyskusje nad relatywnością dobra i zła, gdał w opowiadaniu *Na scenę wkracza żołnierz*. *A po nim wkracza drugi* spotykają się idealnie odtworzeni w komputerowej symulacji Francisco Pizarro i Sokrates; przedstawia mechanizmy wpływające na działanie społeczeństwa (ponownie *Rodzimy się zmarłymi* i *Pożegłować do Bizancjum*), albo też ukazuje wnikliwie zaobserwowane ludzkie zachowania, opisując wspólną podróż legendarnego Gilgamesza oraz dwóch pisarzy (Lovecrafta i Howarda) w krainie, gdzie po śmierci trafiają wszyscy, którzy kiedykolwiek żyli na ziemi (*Gilgamesz na pustkowiu*). Jest też, oczywiście, wątek pamięci.

Najwcześniejsze i najpóźniejsze z opublikowanych w książce opowiadań dzieli dwadzieścia jeden lat. Mimo to w niemal każdym z nich możemy odnaleźć motyw pamięci: utraconej, jak w *Pasażerach* lub też chronionej przed takim właśnie losem (*Skrzydła nocy*). Czasami chodzi o pamięć jednostki, czasami o całe cywilizacje, które zanikają bezpowrotnie, gdy blakną ostatnie wspomnienia o nich. Zdaje się, że Silverberg w pełni świadomie powraca do tego tematu, analizując i badając go w coraz to nowym kontekście.

W parze z pojęciem pamięci pojawia się, naturalnie, historia. W opowiadaniach widać ogromną wiedzę, jaką w tej dziedzinie posiada autor – zwłaszcza jeśli chodzi o starożytność. Silverberg wie o czym pisze, przedstawiając epos o Gilgameszu, opisując postać Sokratesa, czy ulice Aleksandrii i Mohendzo-daro, starożytnego miasta w dolinie Indusu. Nie można oprzeć się wrażeniu, że tytuł zbioru *Pożegłować do Bizancjum* w subtelny, ale wyraźny sposób sugeruje tendencję autora do sięgania w przeszłość, nawet gdy pisze o przyszłości. Nie trzeba dodawać, że zwiększa to tylko atrakcyjność opowiadań.

Nie pozostaje mi więc nic innego, jak polecić opowiadania Silverberga: wszystkie razem i każde z osobna. To literatura przez duże L. Naprawdę warto wybrać się w tę niezwykłą podróż, pożegłować do Bizancjum i dalej, poprzez siedem ciekawych, inteligentnie i sprawnie napisanych historii.

Przemek Szymczak (www.gildia.pl)

Guy N. Smith

– zapoznany mistrz grafomanii



Kiedy u progu lat dziewięćdziesiątych, dzięki przemianom społeczno-politycznym, gospodarka odeszła od systemu centralnego sterowania na rzecz wolnorynkowej, powstało wiele wydawnictw specjalizujących się w przekładach popularnych na Zachodzie, a w Polsce najczęściej w ogóle nie znanych pisarzy.

Oczywiście istnieje też „druga strona medalu”: masowy dostęp do (nie zawsze ambitnych intelektualnie i literacko) utworów dzięki tłumaczeniom spowodował stagnację polskiej fantastyki. Działo się tak, ponieważ moda na fantastykę zachodnią przyczyniła się do nieomal całkowitego zaniku na czytelnicymskim rynku rodzimej beletrystyki przyszłościowej. Aby zobrazować relację edycji rodzimej i obcej fantastyki po roku 1990 podajmy następujące dane dla ostatniej dekady XX wieku¹:

rok	1990	1991	1992	1993	1994	1995	1996	1997	1998	1999
literatura polska	29	35	15	13	15	22	26	27	15	28
przekłady	105	140	132	195	271	209	214	223	241	239

Niezależnie jednak od analiz rynkowych i statystycznych faktem pozostaje, iż rodzimy odbiorca stanął przed niespotykaną dotąd sytuacją: w ciągu kilku lat miał okazję zapoznać się z tym, co w oryginale ukazywało się przez dziesięciolecia. Dość wspomnieć, że to wówczas wydano prawie całą twórczość Grahama Mastertona i takie legendy książkowe, jak np. *Lśnienie* i *Miasteczko Salem* Stephena Kinga. Polski czytelnik mógł też wreszcie zapoznać się z nowym dlań gatunkiem literackim, jakim był horror – ten tworzony współcześnie, nie zaś w wydaniu Stefana Grabińskiego lub nobliwych romantyków. Toteż fascynacją nowością należy tłumaczyć popularność nie tylko wielkich stylistów gatunku – Stephena Kinga i Johna Saula – lecz również *artis minorum*, takich jak Graham Masterton, Brian Lumley... Oraz pisarzy jednej książki, którzy stawali się czytelnicymskimi meteorami (Joseph Citro – autor *Nieznanego*, Ramsey Campbell, twórca *Wieży strachu*). Między nimi zaś znajdowali swą niszę ekologiczną różni niespełnieni artystycznie, lecz również wydawani autorzy, za których patrona i symbol należy uznać Guy'a N. Smitha – człowieka czyniącego grafomanię metodą twórczą.

Co sprawia, że pisarstwa Smitha nie sposób nazwać inaczej, niż w ten dezawuuujący sposób? Z pewnością nie tematyka, po którą sięga. Ta bowiem należy do tradycyjnej w literaturze grozy. Atak popromiennych mutantów, wyzwolone demoniczne siły, psychopaci zasiedlają wszak nie tylko jego opowieści, przeto nie we wtórności tematyki należy poszukiwać ułomności twórczej. Również problematyka powieści – zagrożenie ekologiczne, sugestia, iż nasza rzeczywistość jest zaledwie jedną z możliwych, przestroga przed szaleństwem, w obliczu którego przeciętna jednostka czuje się bezradna – należą do konwencjonalnych i wpisują się w schematy fantastyki grozy.

¹ Dane opracowano na podstawie corocznych raportów autorstwa Wojciecha Sedenki dla miesięcznika „Nowa Fantastyka” z lat 1992 – 2000.

Rzadko jednakże który pisarz decyduje się na tak totalny obraz zagrożenia, jak czyni to Smith. Jeśli mutanty – to kraby wielkości ciężarówek, atakujące wybrzeża całego świata, ze szczególnym upodobaniem pojawiające się w nadmorskich kurortach; jeśli demon – to jedynie Szatan, nikt pomniejszy w hierarchii piekielnej. Niekiedy też zagrożenie bywa kuriozalne, jak w *Szatańskim pierwiosnku*. W powieści tej siły zła znalazły swą siedzibę w tytułowym kwiatku. Wystarczyło go więc zniszczyć, by zniweczyć ich knowania. Pomysł, sam w sobie może i ciekawy, jednocześnie jest aksjologicznie dwuznaczny. Obarczenie odpowiedzialnością za zbrodnię ludobójstwa w czasie II wojny światowej opętanych siłami zła uwalnia od odpowiedzialności jednostkowej; pozwala na oczyszczenie zbrodniarzy odpowiedzialnych za własne decyzje. Oczywiście Smith nie jest (i nie stara się być) historiozofem, trudno też horror uznać za gatunek odpowiedni do snucia rozważań na tematy etyczne. Zwłaszcza, jeśli dotyczą sfery tak szczególnej, jak ludobójstwo.

Powróćmy jednak do Smitha i jego pisarstwa. Powieści sygnowane jego nazwiskiem można podzielić na dwa nurty. Pierwszy z nich – np. wspomniany już *Szatański pierwiosnek*, *Śmiertelny lot*, cykl *Sabat* – to konwencjonalne opowieści grozy pełne potępionych istot. Zawarta na ich kartach groza wynika z przełamania ontologicznej jedności świata przedstawionego, w którym pojawiają się zjawiska niemożliwe do racjonalnego wytłumaczenia. Bohaterowie postawieni zostają w obliczu sił, wobec których nieużyteczny okazuje się racjonalizm i muszą odwoływać się do zabobonów, by przezwyciężyć to, co istnieć nie powinno. Nurt ten ma uzmysłowić znikomą wartość myślenia racjonalnego, straszy odwołując się do sfery podświadomego lęku przed ontologiczną obcością. Podobnie jak inni pisarze literatury grozy (np. Graham Masterton), Guy N. Smith opowieści te tworzy według jednolitego schematu, przeto jego czytelnicy mogą spodziewać się, iż para głównych bohaterów przeżyje – dość często wbrew logice zdarzeń i nagromadzeniu fabularnych komplikacji. Z sygnalizowanego tu schematu dość pozytywnie wyłamuje się cykl *Sabat*. Na tle praktyki językowej i fabuły znamiennej dla twórczości Smitha – jest on na tyle oryginalny, że trudno zrozumieć, jak to się stało, iż jego autor sygnował swym nazwiskiem również *Kraby* (do których jeszcze powrócimy). Pomijając, iż bohaterem *Sabata* jest tytułowy były komandos a zarazem również były ksiądz-egzorcysta o niepomahowanych skłonnościach do onanizmu (Smith znajduje szczególne upodobanie w opisywaniu owych praktyk w sposób dalece przekraczający granice jakiegokolwiek, nie tylko dobrego, smaku), uwagę w cyklu zwraca interesująco rozegrany motyw walki dobra ze złem. Mark Sabat nie jest postacią zwierciadlanie czystą – czyni zło, jednakże po to, by zwalczyć zło większe. Oryginalnym pomysłem Smitha jest kraina, do której Sabat udaje się w podróżach astralnych. Jej mieszkańcy opowiadając się za porządkiem lub chaosem (uosabiającym, odpowiednio, siły Dobra i Zła) mają skontrastowane odcienie skóry. Wygląd podpowiada Sabatowi możliwe konsekwencje jego decyzji i jednocześnie umożliwia dokonywanie wyborów. W krainie tej podział na dobro i zło jest jednoznaczny, przeto wybór jednej z opcji jest ostateczny. Nie można służyć w niej dwu panom, tak jak nie można być jednocześnie zbawionym i potępionym. Co znamienne – kiedy Smith popracuje nad kreacją świata i bohatera, rzecz jest znośna w czytaniu, a fragmenty potrafią zaskoczyć i przestraszyć, a nie tylko wzbudzić obrzydzenie. W nurcie tym, prócz cyklu *Sabat* na uwagę zasługuje zwłaszcza powieść *Lalka Manitou*. Tym, co w niej zaciekawia jest jednakże nie tyle fabuła (równie stereotypowa, co w innych utworach), lecz sięgnięcie (bodaj czy nie jedyny raz w całej twórczości Smitha) do folkloru indiańskiego. Traktowany jest on jednak w tym przypadku równie pretekstowo do ukazania groteskowych w swej dosłowności obrazów śmierci, jaką ponoszą z rąk (?) drewnianych figurek bohaterowie odwiedzający wesołe miasteczko. Akcja ostatecznie koncentruje się na owych opisach zabójstw tak, iż z wolna staje się makabrycznym katalogiem kolejnych zbrodni opętanych zemstą posągów, które topią, duszą, zrzucają z diabelskiego młyna niczego nieświadome ofiary. W finale wesołe miasteczko staje się pandemonium, lecz oczywiście wszystko dobrze się kończy.

Podobnie ambiwalentne odczucia można mieć podczas lektury *Lasu*. Konceptyjnie powieść jest dość interesująca – na uwagę zasługuje zwłaszcza wątek rywalizacji istot zamieszkujących mgłę o życie zabłąkanych wędrowców, którzy znaleźli się w tytułowym lesie. Ciekawie pomyślane zostało przemieszenia czasów, wątek zaginionego spadochroniarza z okresu bitwy o Anglię, nie można zarzucić zbyt wiele sposobowi, w jaki Smith stopniuje napięcie. Oczywiście występuje jedna z jego ulubionych postaci – maniakalny psychopata-gwałcieł, jednak opisy aktów przemocy seksualnej są utrzymane w zadziwiająco znośnym tonie. Diabeł jednak jak zwykle tkwi w szczegółach. Oto – swoją drogą najbardziej kuriozalny w całej twórczości Smitha do której dotarłem – wątek myśli jednego z bohaterów. Siedzący na posterunku detektyw oddelegowany do poszukiwań gwałcieła rozmyśla o poszukiwanym: *Jeszcze jeden z tysięcy seksualnych zbrodniarzy, który powinien być wykastrowany. Ten kosmetyczny zabieg powinien uspokoić zbrodniarza na jakiś czas*². Pomijam tu określenie kastracji mianem kosmetycznego zabiegu – niepojęte jest dla mnie (jako laika w dziedzinie medycyny) czasowość jej skutków, wyraźnie sugerowana przez policjanta. Podobnych wpadek jest zresztą więcej, nie tylko w *Lesie*. W *Śmiertelnym locie* można przeczytać, co następuje: *w jego oczach pojawił się błysk satysfakcji. Cieszył się, że może zadać cios w szczękę żarłocznego kapitalizmu*³. Co ciekawe, owym nokautującym jest angielski policjant, zabraniający, na czas śledztwa, prac remontowych na lotnisku.

Drugi z nurtów nie należy do horroru utożsamianego z literaturą prezentującą „inwazję irracjonalnej niesamowitości”. To raczej *thriller*, w którym groza wypływa z konsekwencji ludzkich działań. Dość często utwory te mają – jak w przypadku cykli *Pragnienie* lub *Kraby* – wydźwięk ekologiczny. W powieściach tych, utrzymanych w tonie przestrogi przed zawierzeniem technice, do wypadku dochodzi wskutek niedbalstwa lub bezzmyślności. Konsekwencje nie ograniczają się oczywiście jedynie do lokalnego skażenia. Szczególnie znamienne pod tym względem są *Kraby*. Tytułowe istoty-mutanty przemierzają świat od wybrzeży Anglii po Wielką Rafę Koralową, wszędzie niosąc zagładę. Wprawdzie ostatecznie zostają pokonane, lecz triumfotorem jest w tym przypadku nie człowiek, a sama natura: kraby giną, trawione popromienną gorączką.

Innym razem (*Obóz, Las*) zło czai się w człowieku i to on jest jego źródłem. Widoczne jest to zwłaszcza w *Lesie*. Zło istnieje w tej powieści niejako „niezależnie”, uobecnione w postaci mgły, lecz to ludzie obnażają siebie takimi, jakimi są naprawdę. Mgła spowijająca Droy Wood to jedynie katalizator, pozwalający na wydostanie się spod kontroli ciemnej strony każdego z bohaterów.

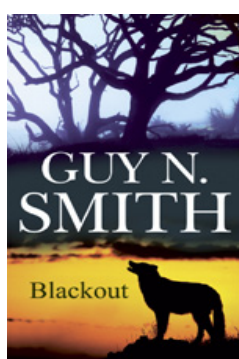
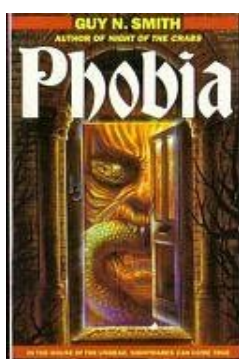
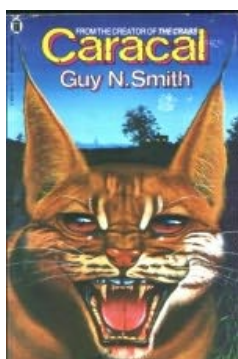
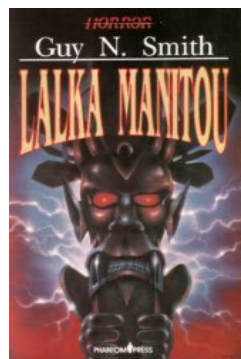
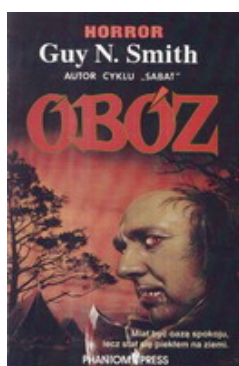
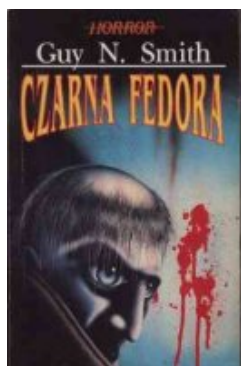
Osobne miejsce w twórczości Smitha zajmuje powieść *Wampiry z Knighton*. Autor sięga w niej do poetyki powieści detektywistycznej, kontaminując je z wątkami przejętymi z horroru wampirycznego. W trakcie rozwoju akcji czytelnik przekonuje się jednak, iż *Wampiry z Knighton* bliżej jest do schematu jednego z nurtów literatury detektywistycznej (wykorzystującego schemat przygody „policjanta na urlopie”), niż do „opowieści z dreszczykiem”. Zdarzenia, jakkolwiek początkowo tajemnicze, znajdują całkowicie racjonalne wyjaśnienie: wampiryzm to młode anarchistki, wykorzystywane przez miejscowego polityka usiłującego zdyskontować napięcia między Walijszczykami a Anglikami dla własnej kariery politycznej, wampirze kły okazują się sztuczna szczęką, zaś „woń grobów” to zapach niemytego ciała. Owey „maskaradzie” towarzyszy znamieny finał. Oto spragnione narkotyków anarchistki zabijają swego mocodawcę tak, jak mogłyby to zrobić wampiry – wysysając mu krew.

² G. N. Smith, *Las*, przekł. M. Bąk, Gdańsk 1992, s. 49.

³ G. N. Smith, *Śmiertelny lot*, przekł. D. Jagodziński, Gdańsk 1991, s. 67.

I krótka dygresja na koniec. Niemala „zasługa” w tworzeniu wątpliwej sławy Smitha jako grafomana przypada też jego tłumaczom. Co znamienne, zmieniali się oni, jednakże ich nazwisko trudno szukać w innych książkach. Bez znajomości oryginałów trudno oczywiście rozsądzić, ile w powieściach językowej inwencji samego autora, ile zaś translatorów. Jednakże i bez tej wiedzy nie sposób nie zauważyć potknięć i niezgrabności polskiego przekładu. Praktyka w tym przypadku potwierdza tezę, iż przekładający powinien znać nie tylko język oryginału, lecz – **przede wszystkim** – ten, na który przekłada. Taką zaś znajomością przekładający dorobek Smitha nie mogli się pochwalić. O owej indolencji językowej świadczą najdobitniej słowa dialogu ze *Śmiertelnego lotu*. Dwójka kochanków kłóci się o domniemana zdradę chłopaka. Ten, w złości, wypowiada słowa: *Nie znam lepszego wyjaśnienia, iż najlepszym sposobem zerwania z dziewczyną jest udzielenie jej lekcji jazdy samochodem*⁴. Konia z rzędem temu, kto zrozumie, o co tu chodzi. Być może całość jest kalką jakiejś konstrukcji angielskiej, jednak czytelnik nie powinien być postawiony w sytuacji tego, który może zaledwie domyślać się przyczyn rozwiązań językowych obieranych przez tłumacza. Tym bardziej, jeśli utwór należy do kręgu literatury grozy – w tej zaś liczby się wszak przede wszystkim nastroj.

Adam Mazurkiewicz



⁴ G. N. Smith, *Śmiertelny lot*, s. 7.

muzyka = fantastyka = fantazja

GRANICE SZTUKI, GRANICA ŻYCIA



Zastanawiam się już, ho, ho albo jeszcze dłużej, nad kwestią interpretacji dzieła muzycznego. Nie można przecież lekceważyć zagadnienia, jak wiele zależy od wykonawcy: czy to będzie dyrygent, muzyk-solista, czy śpiewak. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jest coś irracjonalnego w procesie pracy nad dziełem, kiedy artysta tchnie wreszcie życie w martwe punkciki nut, zawieszono nieruchomo na pięciu równoległych, ograniczonych z jednej strony wiolinowym kluczem. Fascynujący jest moment, w którym utwór nagle zaczyna oddychać, kiedy zaczyna bić tajemne serce, ukryte głęboko, gdzieś „pod skórą” melodii. Mam wówczas wrażenie, że z martwej tkanki utwór przeistacza się, za sprawą Artysty, w elastyczny i żywy organizm. W Dzieło. Myślę wtedy, że ów nieprawdopodobny moment „narodzin”, to właśnie jest Muzyka.

Muzyka jest jak człowiek: potrafi wściekle miotać się i krzyczeć, śmiać się i płakać, namiętnie zabiegać o względy ukochanej osoby, cieszyć się życiem lub wstydliwie zamykać się w sobie. Miewa swoje humory, ulega słabostkom i emocjom. Wszystko zależy od kompozytora, to jasne, bez niego w ogóle nie mielibyśmy tu o czym gadać, ale ja myślę dziś przede wszystkim o wykonawcy.

Aż przyszedł impuls i wszystko to, co we mnie na ten temat się kołatało, mogłem nareszcie pozbiierać w całość, uporządkować, upewnić się co do sensu i zyskać potrzebny punkt oparcia.

Ten impuls – to film o życiu, a właściwie o dziele Marii Callas, największej diwy operowej XX stulecia, a może i jednej z największych w ogóle? Pomysłowo skonstruowany, dynamiczny dokument, wprowadzający widza w dramat życia boskiej Marii, używając jako metafory, jej największej kreacji scenicznej – tytułowej roli w operze Giacomo Pucciniego „Tosca”.

Ona. Callas była wielka nie tylko jako śpiewaczka, była wielka również jako aktorka. Artystka obdarzona wyjątkową charyzmą. Należy, nie bez niejakiej przyjemności, podkreślić, że oprócz fantastycznego głosu, dysponowała ponadto odpowiednimi warunkami fizycznymi – była młoda i piękna urodą greckich bogiń (była wszak Greczynką), co sprawiało, że nie tylko słuchało się jej w zachwyceniu, ale i w zachwycie na nią patrzyło. Oprócz anielskiego śpiewu, jej role tchnęły psychologiczną prawdą. Czegoż więcej trzeba? Potrafiła, a to naprawdę rzadko się zdarza, uwiarygodnić operowe bohaterki, uczynając im swojej wrażliwości, urody i inteligencji; dzieliła z nimi radości i smutki, sprawiała, że słuchacze z wrażenia zamierali na widowni, doświadczając na własne oczy mistycznego niemal zespolenia życia ze Sztuką. To musiały być chwile!

W życiu prywatnym nieszczęśliwa, porzuciła dużo starszego od siebie męża, tonąc w gorącym romansie z jednym z najbogatszych ludzi świata – Arystotelesem Onassisem. Upokorzona, zabląkana wśród wielu „oblubienic” milionera, wiecznie marzyła o szczęściu i miłości.



Opera. „Tosca” jest według mnie muzycznym odbiciem „Nędzników” Wiktora Hugo. Oczywiście nie dosłownie, myślę przede wszystkim o historycznym tle, wymowie społecznej, wszechogarniającym posępnym nastroju i zbliżonej konstrukcji psychologicznej bohaterów. To dzieło kameralne, pozbawione wielkich scen baletowych, tudzież zbiorowych, a jeśli pojawia się chór, to na krótko i raczej marginalnie. Muzyka głęboka i mroczna, niczym soczewka, przygląda się ludziom, spogląda im w samo dno duszy i targa nimi jak liśćmi na wietrze.

Dramat spleta ze sobą losy trzech osób. Akcja dzieje się w Rzymie w 1800 r. Floria Tosca, śpiewaczka, jest ukochaną malarza Cavaradossiego, natomiast szef policji watykańskiej, psychopatyczny sadysta, baron Scarpia, też ma chrapkę na piękną Florię. Żądny krwi okrutnik, przed którym drży ze strachu całe miasto (postać ponoć autentyczna!), reprezentując prawo, sam stawia siebie ponad prawem. Tymczasem Cavaradossi ukrywa u siebie zbiegłego więźnia. Tak cudowny pretekst może się nie powtórzyć. Scarpia, dzięki armii wywiadowców i donosicieli, dowiaduje się o tym, aresztuje malarza i poddaje torturom. Wówczas zwabia do siebie Toskę. Następuje scena ohydneho targu, w którym stawką jest życie malarza, ceną zaś... Tosca. Widząc, że nie ma innej drogi, by ocalić ukochanego, zrozpaczona dziewczyna zgadza się poświęcić własną godność. Baron wydaje rozkaz pozorowanej egzekucji, przez rozstrzelanie ślepymi nabojami, poczym zbliża się do dziewczyny, chcąc wyegzekwować obiecaną nagrodę. Już oczy mu płoną, już pewny jest łupu i wyciąga po nią chciwe łapy, gdy dziewczyna chwytą niespodziewanie leżący na stole nóż i wbija go prosto w serce niegodziwca. Myśli teraz tylko o jednym: wolni, nareszcie wolni oboje! Niestety, Scarpia okazuje się być groźny nawet po śmierci. Oszukał ją po raz ostatni. Kule są prawdziwe. Cavaradossi pada martwy, a zrozpaczona Tosca rzuca się z wieży. Troje bohaterów – trzy trupy. Jak u Szekspira.

Film. „Maria Callas. Życie i śmierć dla sztuki i miłości” Franka Zefirellego jest zapisem najsłynniejszej inscenizacji „Toski”, z 1964 r., wystawionej w londyńskim Covent Garden. Zachował się, niestety, jedynie II akt, z pozostałych, tzn. z I i III, ostały się jedynie pojedyncze kadry. I relacje świadków. Na szczęście akt II jest dramaturgicznie najważniejszy, a co za tym idzie, dla nas najciekawszy. To właśnie w tym akcie bohaterowie odsłaniają swe prawdziwe oblicza, tu zostaje aresztowany i przesłuchiwany przez śpiaczkę Scarpia Cavaradossi, a Tosca targuje się o jego życie i morduje barona. To tu Callas dokonuje niebywałych rzeczy na scenie, balansując, ze swą koncepcją roli, na krawędzi życia i śmierci. Wzlatując na niedosiężny maluczkim poziom Sztuki, wplata w nią życie, a życie uświęca, wynosząc je do godności Sztuki. To fascynujące obserwować, jak śpiewa, jak gra. Dawiała z siebie wszystko. Była, można powiedzieć, artystką totalną, jeśli grała – grała całą sobą, kiedy grała, nie istniało dla niej nic poza rzeczywistością muzyki i światem kreowanym. Zatracając się w muzyce i w roli, gotowa była zrobić wszystko, by papierowe postacie ożyły, a widz uwierzył jej bohaterkom.

Osoby opowiadające o spektaklu i o samej diwie (m.in. Placido Domingo i sam Zefirelli, który był jednocześnie twórcą tej inscenizacji), wyraźnie podkreślają tajemny związek osoby Callas z postacią Toski. Na scenie, w kostiumie włoskiej śpiewaczki, kryjąc się za jej maską, Maria, tak naprawdę, mówiła o sobie. To była ona, gdy klękała przed Scarpia, błagając o łaskę w imię uczucia; to była ona, rzucająca się z pięściami na barona, gdy ten przedstawił jej haniebną propozycję. Tego nie było w scenariuszu, to ona ad hoc, na próbach, wymyśliła tę reakcję – tak zareagowałaby chyba każda kobieta. I naprawdę zaczęła okładać pięściami kompletnie zaskoczonego Tito Gobbiiego, grającego rolę demonicznego oprawcy – sam to opowiadał teraz, po latach, przed kamerą. On z kolei nie pozostawał jej dłużny, złapał ją za ręce, rozkrzyżował i tak zastygli na chwilę oboje.

Wielcy aktorzy „nakręcali” się wzajemnie na scenie, bo tego też nie było w scenariuszu, ale reżyser postanowił zachować to w spektaklu i na taśmie filmowej. Genialne.

Całości dopełniała gra światła. Atmosfera tej sceny miała, według założenia Zefirellego, przypominać piekło; scena pogrążona w mroku, wszędzie cienie, tylko punktowe reflektory podświetlające aktorów od dołu, gdzieś spod sceny, wydobywające z twarzy najdrobniejsze drgnienia. Ktoś nawet powiedział, iż miał wrażenie, że ogląda horror, a Gobbi w roli Scarpia, wyglądał jak wampir w swoim legowisku.

Ciekawa sprawa: Puccini, ze swą koncepcją dzieła scenicznego, wpisał „Toskę” w nurt tzw. weryzmu muzycznego, będącego odpowiednikiem naturalizmu w literaturze. A więc dbałość o realizm, o prawdę, psychologię, szczegóły, a tym samym o wiarygodność bohaterów. Wszystko się zgadza, tylko że Callas, w swym maniackim niemal dążeniu do wiarygodności, posunęła się tak daleko, że nieoczekiwanie na wskroś realistyczny utwór został przeniesiony na oczach widzów w zupełnie inny wymiar. Wszystko nagle stanęło na głowie, wszystko stało się jakieś nie takie: widz nie był już pewien, jaką historię ogląda, gdzie jest prawda, a gdzie kreacja, gdzie kończy się jawa, a gdzie zaczyna zły sen. Psychologiczną prawdą postaci i charyzmatyczną grą nadała realistycznej sztuce wymiar ponadrzeczywisty, sprawiła, że w sztuce zatracili się wszyscy, na czele z widownią, która, jeśli wierzyć relacjom uczestników tego wydarzenia, opuszczała Covent Garden kompletnie zszokowana.

A sama Callas? Grała tak, jakby chciała w reakcjach scenicznych postaci znaleźć antidotum na własne problemy. W trakcie pracy nad rolą, pewnego dnia zwierzyła się Zefirellemu, że czasami sama ma ochotę kogoś zamordować. Nazwisko nie padło, ale reżyser domyślił się, że Maria mówi o Onassisie.

Życie i Sztuka. Dwie krawędzie, a między nimi rozdarte życie Artysty. Gdy Scarpia żąda od Toski daniny z siebie, sponiewierana Floria-Maria, śpiewa najstynniejszą arię dzieła „Vissi d’arte, vissi d’amore” (Żyłam dla sztuki, żyłam dla miłości), a w oczach jej błyszczą nieudawane łzy... Jak spowiedź życia brzmi ta aria, okrzykniętej przez tłumy *diviną* (boginią), Callas. Chyba najpiękniejsza aria w całej jej karierze.

Maria Callas zmarła w 1977 r. na atak serca, w wieku zaledwie 54 lat. Samotna, opuszczona przez wszystkich.

Andrzej Habasiński



HISTORIA PIKNIKÓW *dokończenie ze strony 13*

wynajęcia busa na podróż i pobyt – 9 zł od łba, to śmieszna kwota za taką przyjemność. Tym bardziej, że zwiedzanie było darmowe. Może w następnych latach będą inne wycieczki, bo ciekawych miejsc w pobliżu jest sporo. Papier miał wielkie zamiary, by zacząć nowe budowy, ale musiał z nich zrezygnować, gdyż trzeba było się zająć remontami starych. Większość stołów i ławek wymagała kapitalnego remontu lub wymiany. Szczególnie duży stół, który jest miejscem integracji, jeśli pogoda nie dopisuje.



XVI Piknik Na Skraju Drogi **Cerkiewnik 20 lipca – 4 sierpnia 2002**

Nowy kibel z widokiem na jezioro. Znaczy, nie nowy a stary, tylko został trochę przebudowany, a na drzwiach otrzymał hologram z widokiem na Małą Puplę. Jest fajnie, ale trzeba pamiętać o zamykaniu deski klozetowej, by nie „capło”. Olczak przywiózł nową dziewczynę. Niektórym już znaną, bo kiedyś była na pikniku i pamiętaliśmy ją, jak czule rozmawiała z drzewami. Przez cały dzień tylko jadła i spała. Wyłąziła z namiotu wieczorami, by grzać się przy ognisku. Zyskała przydomek „Anakonda”. Kormoran z Olczakiem przy pomocy przyjaciół naprawili najstarszy stół na pikniku. Uznaliśmy, że jest już zabytkiem historycznym, nazywanym przez niektórych „stołem gadnym” i należy mu się renowacja.



XVII Piknik Na Skraju Drogi **Cerkiewnik 19 lipca – 3 sierpnia 2003**

Jak większość z nas przyjechała na miejsce, to zastała tam rezydujące już od paru dni Żyrafany. Myśleliśmy, że zdążyli nakarmić i napoić komary po zimie, ale gdzie tam. Cholery cięty zajadłej i były jakby dorodniejsze niż w latach ubiegłych. A może Żyrardowiaci je tak utuczylili? Wszystko jest teraz pędzone nie wiadomo czym i z czego. Cywilizacja coraz bardziej nas dogania. Zaoszczędziliśmy trochę środków płatniczych, dlatego też pozwoliliśmy sobie na zakup dwóch baldachimów ogrodowych do postawienia nad największym stołem. Cała infrastruktura jest praktycznie wykonana i Papier strasznie się nudzi. Z tych nudów wygrzebał gdzieś stary, wykonany z bardzo grubego brezentu duży, wojskowy namiot i zrobił z niego piknikową saunę. Ale fantazja. „The day after” nie ma nic lepszego. Co prawda nie wszyscy wiedzą, jak się w prawdziwej saunie powinno przebywać – ale trudno. Panowie korzystają jak tylko mogą, panie podchodzą do niej (sauny) jak pies do jeża. Tak tylko na marginesie, jakby z rozpędu Krzys wykonał nową tratwę na Dużą Puplę i port dla niej. W tym zbożnym celu wspomagały go jak zwykle Żyrafany. Z racji katorżniczej pracy włożonej w tę budowę tratwę nazwano „Galera Papiera”. Odbył się uroczysty chrzest jednostki pływającej, w wykonaniu „nimfy wodnej” połączony z pełną próbą obciążeniową – w dziewiczym rejsie po Dużej Pupli. I nie byłoby w tym nic dziwnego – gdyby nie to, że budując port, nie zauważyli nad



głowami dość dużego gniazda niesympatycznych os. Osy były wredne i włożyły nam do piwa. Nikt im nie broni. Jesteśmy tolerancyjni i każdej gadzinie pozwalamy się z nami napić. Ale one miały brzydki zwyczaj zaczajania się po pijaku blisko wylotu butelki lub puszki i żądlenia. Paru z nas nieco straciło symetrię buźki. Dopiero po kilku dniach nieustraszony Kaczor zlikwidował zagrożenie. Nie dość, że je utopił – to jeszcze spalił! Wszystko byłoby dobrze gdyby nie jeden osobnik, który uczył się gry na gitarze. Im dłużej się uczył tym marniej grał. Tylko odpowiedni poziom płynów ustrojowych w naszych organizmach pozwolił mu przeżyć do końca imprezy.



CDN

Kto jest kto na Pikniku (1)

JAREK i MAREK SOKÓLSCY – czyli „Czempiony”.

Pomysłodawcy Pikniku Na Skraju Drogi. Zapoczątkowali go organizując pierwszy piknik w 1987r w Augustowie. Już z rodzinami do dzisiaj są uczestnikami Pikników. Marek Sokółski jest od 2005r w Nowej Radzie Pikniku. Twórcy sporej ilości piosenek Piknikowych. 7Wielu do dziś ma problem, który to Marek, a który Jarek, więc opracowano różne metody ich rozróżniania. Najważniejsze, że się nie obrażają za pomyłki. Swoją drogą ciekawe, że ich żony nie mają tego problemu. Jak one to robią?



PIOTR SAWICKI – popularny „Arni”. Również jeden z pomysłodawców i organizatorów. Na Piknikach od samego początku, czyli od 1987r w Augustowie. Wielokrotny „przogniskowy” noclegowicz. Słynie z tego, że potrafi spać długo. Jego rekord to 15 godzin, ale o wiele dłużej potrafi funkcjonować bez snu. Wyklęty przez Irenę za straszenie Bartusia i przez Anię za drażnienie Tiny.



GRZEGORZ KOZUBSKI – „Harcerzem” zwany. Pseudonim uzyskał właśnie w Cerkiewniku. Współorganizator Pikniku w Augustowie w 1987r. Aktywny udział bierze do dziś. Jako jedyny przyjeżdżał z kolejnymi żonami. Do 2004 roku członek byłej Rady Frajerów kierującej Piknikiem. Zawzięty organizator konkursów i turniejów różnej maści.



GDĄŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2
 ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37
 REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nac.), Krzysztof Papierkowski,
 Marcin Szklarski, Michał Szklarski

OKŁADKA: Sławomir Wojtowicz

GRAFIKI: Ewa Białolecka (3), Piotr Terszel (4)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYŃIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 400

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

INFORMATOR

211